

Część II – pisanie własnego tekstu

Temat: Porównaj obrazy walk powstańczych przedstawionych w *Gloria victis* i we fragmencie *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej. Podkreśl rolę natury w utworach.

Eliza Orzeszkowa, *Nad Niemnem*

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód; Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

– Stąd Niemna nie widać – zaczął – ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny albo może i trzy patrzali na rzekę, którą przyływały czółna i łodzie z jednej strony i z drugiej ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach, nieduży... Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się, majowy. Jak dziś pamiętam, że księżyc dobrze już posunął się do środka nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach, tylko w borze słowik śpiewał... Wtenczas ojciec pocałował matkę, cościś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach swoich podniósł i całować zaczął. Wprzód nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym niżeli wesołym i częściej w milczącym zamyśleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie. Całkiem inaczej jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno też za tę pochmurność i za te utapianie się w myślach tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ojciec dziecko swe żegnający w zamkniętości swej nie wytrzymał, cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało, i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem; stała też tam panna Marta, która w tę porę młoda jeszcze była, i kiedy troszkę wprzód stryja żegnała, święcony medalik jakiś na szyi mu powiesiła; stało i więcej ludzi różnych ze dworu i z okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów pszczoł brzęczy. [...]

– I więcej nigdy już pan ojca swego nie widział?

– Raz już tylko po tym ostatnim rozstaniu o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało i gdzieniegdzie żąć je zaczęli, stali my w okolicy, nad samym brzegiem, w tym miejscu, gdzie, pani wie, na naszym podwórku lipy rzędem rosną. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i, tak samo jak my, kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w te miejsce biły. Słowik już wtenczas nie śpiewał, tylko gdzieniegdzie podejmowały się znad boru chmury wszelakiego ptactwa i jak zwariowane, z przeraźliwymi krzykami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając albo też lecąc jak najdalej, zdaje się na oślep... Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty te zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a za to po całym borze poniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiewki. Ja wtedy tak przeląknęłam się, że całego mnie trząść zaczęło, i mocno uczepliłam się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptami przybiegły, po cichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły, noc nastała, widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali albo siedzieli ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie szumienie wiatru naśladowujące. [...]

Ja jemu [panu Benedyktowi] tchu od płaczu nie mając tyle tylko: „Stryj powiedzieć kazał, że pan Andrzej tu...” i na czoło sobie pokazałam „a mój ojciec tu...” i na piersi sobie pokazałam. I dołożyłam jeszcze: „Obydwoch nie ma!” Tylko co zaś te dwa słowa wymówiłam, jak rozejdzie się po pokoju jakiś krzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, i wtenczas dopiero obaczyłam, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa jak martwa kłoda zwała się z kanapy czy z krzesła na ziemię. Zwała się i leżała z twarzą do sufitu obróconą i taką białą jak kreda, z oczami zamkniętymi. Pan Benedykt tylko obydwoma rękami za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w rękę została, i jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem wielkim z domu wypadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłam, ale dopędzić go nie mogłam, bo już i zmęczony byłem... więc kiedy do chaty naszej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mówili, nie słyszałem. Jedno tylko to posłyszałem, że pan Benedykt zapytał się: „A Dominik?” Stryj zaś znak taki około rąk i nóg zrobił, jakby je czym wiązał, i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy jakby w nieprzytomności wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce, po kropelce woda ściekała. [...]